

# Jak przyspieszyć ewolucję zbytnio się przy tym nie trudząc?

tekst: Tomasz Lippoman  
www.bialowieza.com.pl

**B**y z ewolucją zrobić cokolwiek musi ona najpierw zaistnieć.

Powiedzmy więc, że punktem wyjścia naszych rozważań będzie istniejąca już Planetka, gdzieś na dalekich rubieżach Drogi Mlecznej, jeden lub dwa miliony lat temu. Jest to kuliste ciało niebieskie, na którym ewolucja już się toczy, w tempie ruchów sennego ślimaka. Pod powierzchnią Planetki, w rozproszeniu, zgromadzone są pierwiastki radioaktywne: uran, pluton, rad, polon i inne, których jedną z właściwości jest to, że wywołują mutacje w genach organizmów ją zamieszkujących.

Mutacje z kolei są niezbędnym czynnikiem do zaistnienia ewolucji. Problem w tym, że owe pierwiastki zagrzebane są głęboko pod ziemią, przez co ich oddziaływanie na mieszkańców Planetki jest mocno ograniczone.

W owych nieludzkich, a raczej przedludzkich, czasach Planetka wygląda dość podobnie do współczesnej nam Ziemi, tyle, że w znacznie większym stopniu jest pokryta lasami. Jej wody, zarówno słodkie jak i słone, są czyste, a powietrze, czyli atmosfera, balsamiczne z punktu widzenia zamieszkujących ją organicznych form życia. Planetkę zamieszkuje wiele gatunków tak zwanych roślin, zwierząt, grzybów i bakterii, które żyją do dzisiaj oraz też i takie, które znamy wyłącznie z wykopalisk.

Niechaj u zarania opowieści pojawi nam się na tej kosmicznej drobinie „Inaczejowłosionamałpa”, której to genuza w przyszłości będzie budziła spory i wiele emocji.

Czy zrodziła ją ewolucja, dobry bóg, zły bóg, obojętny bóg, kosmici, międzygwiazdowa świadomość czy może przypadek, pozostanie w naszej opowieści nierozwiązaną zagadką.

Trudno jednak zaprzeczyć, że w pewien znaczący sposób różni się, owa Niecoinnamałpa, od reszty swych pobratymców.

Jest słaba fizycznie. Nie ma silnych kłów, nie ma ostrych pazurów, umiarkowanie dobrze wspina się po drzewach, nie potrafi zbyt szybko biegać, ani dobrze pływać, a w zapasach z posiadającym zbliżoną masę szympansem odpada w przedbiegach.

Jest w pewien sposób infantylna.

Pokrewne jej ssaki zatracają z wiekiem nieposkromioną ciekawość i pęd do zabawy, a ona nie. Ma proporcjonalnie, a może raczej nieproporcjonalnie, dużą głowę, a co za tym idzie mózg. Zupełnie jak oseski większości ssaków. Jest poniekąd takim przerośniętym niemowlakiem. W słabości jednak siła. Niedobory fizyczne nadrabia dobrą organizacją społeczną. Konieczność staje się kluczem do błyskawicznej kariery.

I tu pojawia się teza. **Do przyspieszenia ewolucji potrzebna jest fizycznie ułomna, włochata inaczey mała, o znacznie większym, w porównaniu do wcześniejszych istot mózgu i, o czym będzie później, zamiłowaniu do nieuzasadnionej przemocy.**

Z początku nasza bohaterka żyje sobie w bardzo ciepłym, obfitującym w pokarm miejscu. Przez dłuższy czas w jej życiu dzieje się niewiele ciekawego. Żyje tak sobie, najpewniej w sposób zbliżony do niedobitków afrykańskich goryli czy szympansov lubo i Pigmejów z przed kilku dziesięcioleci.

Jakieś sto, czy może mniej tysięcy lat temu następuje w naszej historii punkt zwrotny.

Grupa Inaczejkosmatych opuszcza Kolebkę, Ciepłarnię, Eden i rusza na północ, w objęcia Warunków Wielce Niesprzyjających.

Czy nieposkromiona ciekawość, czy brak akceptacji, zaraza, wojna, czy jakieś inne, bliżej nieznanne przyczyny, legły u podstaw Wielkiej Wędrowki pozostaje tajemnicą.

Wędrowcy trafiają w rejony, gdzie zimno i głodno bywa przez znaczną część roku.

By nie zanudzić czytelnika, przeskoczę tysiąclecia z mym piórem i lutnią, jako, że i Odwrotniekosmaci wykonali niezłego dziejowego fikołka.

U tych Mniejwłochatych, w iście olimpijskim tempie, rozwija się: hodowla, rolnictwo, budownictwo, ciepłownictwo, przemysł tekstylny, techniki polowań, sztuka gromadzenia dóbr i ich obrony oraz mnóstwo innych dziedzin wiedzy niezbędnych dla przeżycia. Rozwija się organizacja społeczna i techniki unicestwiania, zarówno pobratymców, jak i innych mieszkańców Planetki.

Warto w tym miejscu zauważyć, że inni Słabiejwłosieni, którzy nie opuścili Kolebki, żyli w tym samym czasie w sposób niezbyt istotnie różny od tego, jaki poprzedzał Wielką Wędrowkę.

Na północy, wraz z pojawieniem się Nowych, gwałtownie ubywa lasów. Przybywa budynków, dróg. Ubywa różnych gatunków Planetcewcześniejąłściwych. Przybywa gatunków udomowionych. Przybywa świątyń oraz pól bitewnych. Ubywa czystych rzek i przybywa rzek zanieczyszczonych. Przybywa naturalnie i Skromniejwłosionych.

Przychodzi odpowiednik naszego wieku XVIII-tego.



Gibbon

Orangutan

Chimpanzee

Eksplzja nauki, czyli tego, czym pewna grupa Mniejkosmatych zajmuje się w czasie wolnym od nużących czynności niezbędnych dla przeżycia.

Tysiące wynalazków przygotowuje grunt do odkryć dla tej opowieści fundamentalnych. Niecomniejsierścią-pokryci mieszkają w coraz większych osadach, których okolice, od dłuższego już czasu pozbawione są drzew, opału, budulca.

Wyzwaniem czasu stają się nowe źródła energii. Karierę robią węgiel i ropa naftowa. Problem w tym, że Północ została poszatkowana granicami państw. Jedne z nich mają zasoby tychże surowców, inne zaś ich nie mają lub posiadają je w ilościach sprzyjających powstawaniu postaw sknerskich.

Wchodzimy w odpowiednik naszego wieku dziewiętnastego, w którym to populacja Mniejniecopokrytychwołosieniem rośnie szybciej, niż ilość dostępnych surowców energetycznych. A przynajmniej tak to oni odczuwają.

W naszej historii pojawia się wielce znacząca postać, którą – dla uproszczenia narracji – nazwijmy po ziemsku: Henry Becquerel. Bawiąc się na różne sposoby pierwiastkiem zwanym uranem, odkrywa on zjawisko promieniotwórczości.

Dalsze badania podejmują, powiedzmy po ziemsku, Thomson i Rutherford, dociekając przyczyny jonizacji gazów naświetlanych promieniami odkrytymi przez Becquerela. W tym samym czasie małżeństwo, powiedzmy,



Gorilla

Man

Curie-Skłodowskich odkrywa kolejne pierwiastki promieniotwórcze: rad i polon, a z kolei znany nam już Rutheford i, dopiero co poznany, Owens odkrywają pierwiastek tor.

W ślad za nimi pojawiają się w naszej opowieści, powiedzmy tak zwani, Niels Bohr, Albert Einstein i wielu innych im podobnych miłośników dociekania. Dalej historia toczy się już coraz szybciej. Kolejne zastępy uczonych rozwijają naukę o promieniotwórczości, rozszczepianiu jąder atomowych, ich syntezie oraz praktycznych zastosowaniach zdobytej wiedzy.

Początkowo odkrycia te wykorzystywane są w medycynie, to znaczy dla dobra mieszkańców. Wkrótce jednak okazuje się, że nowa zabawka świetnie nadaje się do mordowania bez większego wysiłku setek tysięcy mieszkańców bez względu na wiek i płeć naraz i w bardzo krótkim czasie, tudzież, niejako przy okazji, wszystkich innych

żywych stworzeń zamieszkujących poddaną tym działaniom okolicę.

Staje się także jasne, że z tej nowej wiedzy wynikają korzyści pośrednie w postaci odstraszenia wrogich plemion.

Zaczęto gromadzić głowice nuklearne w ilościach tyleż wielkich, co i, tak zwanym zwykłym obywatelom, nieznanym. Od czasu do czasu odpalano jedną czy dwie w miejscach odludnych, choć, co zapewne nie martwiło wojskowych, zamieszkałych przez inne żywe istoty.

W tym samym mniej więcej czasie, na skutek różnych tak zwanych przyczyn politycznych, nastąpił kryzys energetyczny, co można tłumaczyć jako niepewność w osiągnięciu stałych i przewidywalnych zasobów węgla i ropy naftowej.

Z kopyta ruszyła energetyka nuklearna. W ekspresowym tempie zbudowano mnóstwo elektrowni atomowych.

Wraz z rozwojem tej nowej gałęzi przemysłu, pojawiła się na Planecie nowa najprawdziwsza arystokracja. Kasta ludzi niezbędnych. Jeśli nawet nie po to, aby rozwijać pokojowo-wojenne zastosowania swej wiedzy, to na pewno po to, żeby przez zaniedbanie nie doprowadzić do globalnej katastrofy. Nowi, najprawdziwsi książęta nie są, jak gwiazdy rocka czy politycy, ulubieńcami mediów, ale, wiercie mi, na tym etapie dziejów są najbardziej niezbędną grupą zawodową na Planecie.

Kto jednak studiuje fizykę nuklearną, kwantową i tym podobne niezbyt oblegane przez maturzystów dziedziny? Mózgowcy, kujony lub leserzy. Mam nadzieję, że leserzy nie robią karier w elektrowniach atomowych tudzież składach pocisków nuklearnych. Mam taką wielką nadzieję.

I pojawia się w naszej opowieści kolejna ważna grupa bohaterów. Biolodzy. Ograniczymy się do rozważań nad biologami laboratoryjnymi. Pomijamy całkowicie liczną ich grupę, która z lornetkami, a ostatnio coraz częściej z odbiornikami telemetrycznymi, ugania się po lasach, bagnach, pustyniach. Zajmiemy się bliżej genetykami, biochemikami, biotechnologami, bakteriologami, wirusologami i im pokrewnymi osobnikami.

Co to za ludzie? Różne ścieżki prowadzą nastolatków na studia biologiczne. Z autopsji wiem, że prawdziwych mózgowców nie znajdziesz tam na kopy. Biologia laboratoryjna to trochę jak kucharzenie. Mieszasz, frakcjonujesz, wirujesz, miareczkujesz, podgrzewasz, hodujesz, mrozisz i na koniec patrzysz, co z tego wynikło. Najczęściej nic z tego nie wynika, najwyżej publikacja, doktorat i ewentualnie zwiększony index factor. Czasami jednak wychożą rzeczy bardzo ciekawe, jak choćby odkrycie przez Watsona i Cricka budowy DNA.

Pojawiają się jednak i efekty uboczne tego laboratoryjnego kucharzenia, efekty bardziej przerażające niż najgorsze horrory, najlepiej opłacanych scenarzystów Hollywoodu, jak choćby tak zwana broń biologiczna, czyli wyjątkowo zjadliwe odmiany wirusów i bakterii. Z jakis nieznanym mi bliżej przyczyn, te „udoskonalone” patogeny nie zrobiły jak do tej pory równie błyskotliwej kariery co broń nuklearna.

Ciutmniejkosmacy nie próżnują. Biolodzy, nieco być może zakompleksieni w stosunku do fizyków-mózgowców nuklearnych, zaczęli więc pod koniec tak zwanego XX-tego stulecia bawić się w przemieszczanie genów z jednego gatunku do drugiego. Cel szczytny. Potrzebne są nowe odmiany roślin i zwierząt zdolne wykarmić głodujące Południe – Kolebkę Północy.

Południe niedawno uszczęśliwiono antybiotykami, które przyniosły mu najpierw eksplozję populacji, a następnie potworny głód, który od dziesiątków lat zbiera obfite żniwo. Północ jednak nie próżnuje w próbach rozwiązania problemów Południa. I tu zbliżamy się do finału tej prawdopodobnie przydługiej historii.

W zabawach z genetycznie modyfikowanymi organizmami jest wiele tykających bomb. Wraz z przełamaniem bariery gatunkowej pojedynczych genów czy też całych ich grup, otwieramy szeroko wrota do komórek nowych gatunków dla specyficznych patogenów, bakterii, wirusów, prionów czy innych jeszcze nieopisanych form pasożytniczego, ale zasadniczo „rozsądnego” życia, które ze swej natury nigdy nie wykańcza w sposób dramatyczny swego żywiciela.

Technicznie rzecz biorąc, wprowadzając do nowego organizmu obcy gen, wprowadzamy także i marker, umożliwiającą późniejszą identyfikację transformowanych organizmów na tak zwanej pożywce selekcyjnej. I oto mamy szeroko otwarte wrota dla genów oporności na wszelkie antybiotyki. Z tego miejsca prosta droga prowadzi na przykład do bakterii jelitowych w organizmie człowieka (po zjedzeniu transgenicznej rośliny) i powstania szczepów bakterii **odpornych na wszelkie antybiotyki**. Sam tego nie wymyśliłem. Zaczepnąłem to mądre zdanie wprost ze źródła, a konkretnie od pani dr Anny Krukowskiej, która na codzień „bawi się” genami.

Mówiąc prościej, prędzej czy później, a raczej prędzej, rozprzestrzenimy po świecie jakiś patogen, bakterię, wirus, priona czy inną jeszcze niezidentyfikowaną zarazę na skalę niewyobrażalną dla nawet najlepiej opłacalnych scenarzystów Hollywoodu. Zainfekujemy miliony ludzi zwykłą mąką, mlekiem, pomidorami czy hamburgerami, za pieniądze płynące wartkim i szerokim strumieniem z podatków tak zwanych obywateli, przekazywanych przez demokratycznie wybrane rządy na działalność legalnych biologów laboratoryjnych.

To, że zginą wówczas miliony ludzi, nie byłoby może wielkim problemem. Najgorsze jednak, że przy okazji uśmiercimy fizyków nuklearnych. Co stanie się wówczas z setkami elektrowni jądrowych szeroko rozsianych na Północy? Co stanie się ze składami głowic nuklearnych pozbawionych fachowej opieki?

Jedno wiem, na pewno brak fachowej opieki przyspieszy ewolucję, a dla nielicznych, którzy przeżyją po tysiącach lat kolejnej epoki kamienia łupanego, stworzy wiele miejsc pracy przy pisaniu nowych atlasów fauny i flory Planетки. 🙌

## GMO wróbel na płocie

Załodze „Zielonych Brygad”

Na płocie z betonu  
przysiadł wróbel rogacz.  
Wygląda jak mały łoś,  
a chrząka jak świnią.

Uważnie obserwują go:  
Doktor Yama Koto,  
Doktor Mc Cotho.

Śledzę tę scenę  
pogryzając kanapkę  
z białą szynką  
o smaku kurczaka.

Nie wiem co myśleć.  
Pytam pierwszego z brzegu,  
czemu wróbel ma zielony ogon?

On wypisuje skierowanie  
na wszczepienie siódmego oka.  
Czy z troski o mój wzrok?

Czy też z wróblem coś nie tak?  
Cholera. Nie wiem.

Tomasz Lippoman